

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDLA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 26 WRZEŚNIA 1915

NR. 9.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



Podjazd ułański w drodze.

C E N A K R W I

Młody powieściopisarz niemiecki, Norbert Jacques, wydał książkę, przedstawiającą wrażenia z Paryża i Londynu w czasie wojny: London und Paris im Kriege. Norbert Jacques nazwisko ma francuskie, jest Luksemburczykiem z przynależności państwowej, pisze po niemiecku, wyjechał do państw ententy jako korespondent „Frankfurter Zeitung” i głośno opowiada sympatyje swe dla żydowskiego Ghetta. Przedstawia Jacques w książce swej obraz owego wysilenia energii, całej woli narodowej Anglików w kierunku wojny. Zobrazowawszy zaś ów żar nieustannej gorączki, nerwowej febry, dręczącej w tej chwili całe społeczeństwo angielskie, wybuch nagle krzykiem, godnym powieściopisarza wielkiej miary, krzykiem pół trwogi, na poly zaś zdumienia, przechodzącego wprost w osłupienie.

„Wyjeżdżałem do Londynu jeszcze z przekonaniem, że udział czynny Anglików w wojnie jest raczej pozorem, zręcznym podstępem, by wkładając możliwie jak najmniej wartości, mieć później władzę ugniatania oblicza świata wedle własnego upodobania. Teraz wiem jednak: Anglia poczuła woń krwi. Biada! I w tej nowej jej wojnie podniesie się ten sam opar krwi, w którym wymordowywała Australię, rzezała kobiety i dzieci Burów i w którym uniformowani jej sports-mordercy dobijali rannych Egipcyan w bitwie pod Tel-el-Kebir. Anglia poczuła woń krwi. Biada!”

Jest w tem stwierdzeniu dziwny błysk jasnowidzenia, głębokie wniknięcie z nagle w psychologię wojny. Opadły w tych czasach wielkich przesilen z człowieka wszelkie więzy sentymentalnych skrupułów, którymi go obciążała kultura. Prysło wszystko, co się mówiło o ludzkości, o zbrataniu dla wspólnych wielkich celów. Zbankrutował bezpowrotnie idealizm romantyczny i z pod powłoki wiekowych konwencji, wiekowego kłamstwa, które za prawdę uchodzić mogło póty, póki nie zetknęło się z obliczem surowej rzeczywistości, wyłonił się człowiek nagi, człowiek przyrodzony, taki, jakim go stworzyła pierwotna natura, walczący o byt swój i o utrzymanie miejsca swojego pod słońcem, krwią własną lub wroga przypieczętowujący prawo do bytu. Nie piękne hasła, jak było dotychczas; krew, przelewana na polach bitew, stała się miernikiem obecnie wszelkiej wartości człowieka. Kultura nabrała innego zgoła zabarwienia.

Te instynkty walki drzemały długo, uspięne w tajemnych pokładach duszy człowieka. Wiadomo powszechnie: dla Anglika wojna jest sportem, jest nowym tylko rodzajem polowania, polowaniem na człowieka. W armii ochotniczej angielskiej, nie same tylko zdeklasowane i pozbawione możności życia szumowiny wschodniego Londynu ciągną na nowy hazard życia, jak stara się mówić czasem prasa niemiecka. Norbert Jacques podnosi wyraźnie, że przeważna liczba tych ochotników pochodzi ze sfer inteligentnych, najczęściej ze złotem runem stanu adwokackiego na piersiach. Z takim samym niewzruszonym spokojem, z jakim mierzy się do nadchodzącego zwierza w lesie, stoi Anglik w swoim rowie strzeleckim i strzela spokojnie, jak na strzelnicy. Temperament boju jest tu już we krwi. Tylko w literaturze angielskiej znaleźć można taki spokojny i tym właśnie spokojem poruszający do żywego opis indyjskiego polowania na człowieka w lesie, jak w jednej z powieści Jacka Londona.

Był czas, gdyśmy wszystko to, co stanowi istotę dzisiejszej bitwy, zaliczali w poczet zwyrodnień ludzkiej natury. Pamiętam dobrze czytana ongi jedną z przera-

żających grozą opisywanych faktów i psychologii ludzkiej nowel Hansa Heintza Ewersa. „Sok pomidorowy” nazywała się ta nowela, mająca za przedmiot dziwne, zwyrodniałe upodobanie człowieka w tym życiodajnym płynie, którego purpura magiczny jakiś wpływ wywiera na człowieka. Jest już w głębinach ludzkiej natury ukryte owo poczucie ceny krwi, jako najwyższej wartości dla człowieka, stanowiącej o samym jego życiu. Poczucie to przejawia się już choćby w owym przerażeniu, które zazwyczaj budzi sam widok przelewanej krwi, lub sama myśl o niej. I jest na przeciwnym biegunie owego poczucia wartości bezcennej krwi, ta chorobliwa uciecha, którą budzi widok trwonienia, hojnego przelewania tego, co jest zawsze najbezczenniejszem. Krew zawsze była ważnym składnikiem wszelkich rytualnych obrzędów ludzkości, bez względu na to, czy w postaci naturalnej, czy dla otoczenia spraw tych pięttem tem większej tajemnicy, w postaci symbolicznej. To było oliarowywanie siłom boskim najwyższych wartości, na jakie stać człowieka. Tu też nurtuje ów pierwotny kult bohaterstwa, przy którym naturalnie mowa była jedynie o bohaterstwie wojennem. Podobnym bogom był mąż, który, jak wielki pan, puhar krwi swej wypróżniał na polu walki z wrogiem. Takiesame oznaczenie bohaterstwa utrzymało się dotychczas w praktyce ludzkości mimo prób purytańskiego przekształcenia tego pojęcia w duchu Emersona.

Odkrywa się w tej chwili na wielką skalę przewartościowanie ludzkiej kultury. Krew ludzka jest jego sprawdzianem. Z ideologii ludzkości, nagromadzonej w ciągu wieków, odrzuca się to co nie istotne. Życie poczyna wracać do przyrodzonych swych, określonych przez samą naturę, podstaw. Najlepszym wyrazem tej nowej kultury jest głos krwi, tajemnicza siła, mędrsza od wszelkich rozumów ludzkich, owa biologiczna głębia, która kształtuje zarówno organiczne życie człowieka, jak i podkład daje psychicznemu jego życiu wraz z wszystkimi jego powikłaniami.

Niema literatury światowej, któraby mędrsza była w tej mierze nad literaturę angielską. Bernard Shaw stale, we wszystkich swych utworach wyraz dawał temu przeświadczeniu, że na nic są wszelkie zasady człowieka, wszelkie zamierzenia jego woli, z góry powzięte. W decydującej chwili przemawia zawsze to jedno tylko: głos krwi, burzący wszelkie uznane ideologie, gdy nie odpowiadają one ludzkiej naturze, wielki budowniczy i przetwórca wszelkiej wartości. Życie ludzkie, takie, jakim ono jest codziennie dla człowieka głębokiego, a jakim narzuca się umysłowi przeciętnego widza tylko w wyjątkowych chwilach wielkich przesilen, zbyt głębokie jest, zbyt oblituje w niespodzianki, by się dało z góry ująć w racjonalistyczne formułki. Życie głębsze jest, niż jakakolwiek życia teorya. Sama przyroda tedy od czasu do czasu wystąpić musi z teoryj tych poprawką. Przyroda oszukać się nie da i, gdy wszystko inne zawiedzie, ona sama ster obejmuje.

Niema znowu w literaturze angielskiej mędrzej książki nad Kiplinga Księgę Puszczy. Najbardziej odkrywcze spostrzeżenia, dotyczące natury życia zostały w księgach tych zawarte. Cały świat zwierzęcy rządzi się tam odwiecznymi prawami, nie pisanymi wcale, lecz mimo to tak głęboko tkwiącemi w podstawach tego życia, że na wieki zostaje ze wszelkiej społeczności życia wykluczony osobnik, który śmie w czemkolwiek prawa te naruszyć. Ten świat, w którym nie konwenans, nie

przepis pod groźą kary obowiązujący, lecz instykt sam rządzi, o wiele naturalniej, prawdziwiej żyje, aniżeli świat człowieczy, który ów instykt zatracił. We wszystkich okolicach ziemi i we wszelkich rodzajach zwierzęcego świata zarówno jest zrozumiały język ów, którym przemawia prawo natury.

„Jestem jednej z wami krwi“ — takie jest hasło, dające prawo w całej przyrodzie do pomocy nawet za cenę życia tego, który pomocy tej potrzebującemu używa. Wspólnota krwi, jedność rodu, jest węzłem, który poszczególne osobniki niewidzialnie spaja, tworząc z nich wielką całość. Osobnik jest tylko jednym przemijającym ogniwem tego nieprzerwanego łańcucha, który utrzymuje się ponad zmienność pokoleń. Pokolenia są jako liście na gałęzi, oto mądre słowa, wypowiedziane przez Homera jeszcze. Jesień je zwiewa, by nowa wiosna nowym gałąź okryła pąkowień. Życie osobnika dłuższe jest lub krótsze. Każdy osobnik przeznaczony jest ostatecznie na to, by kiedyś zginął. Pozostaje wszakże nieśmiertelnie to, co wypracował dla rodu swego, dla polepszenia warunków utrzymania się jego pośród innych w walce o dobre prawo do swobodnego rozwoju swoich przyrodzonych sił. Głos krwi tem jest, co panuje ponad zmiennością pokoleń.

Wojna jest wielką wychowawczynią ludzkości. Wpaja ona w człowieka poczucie historycznego tchu. Żołnierz w rowie strzeleckim, czy w szturmie, gdy uświadomi

sobie w całej pełni owo niebezpieczeństwo, na każdym kroku, groźące od bzykających kul i świszających pocisków armatnich, od których nigdy uchronić się nie można, gdyż wszędzie władza tu przypadek wszechmocny, dochodzi do zrezygnowanego przeświadczenia wreszcie, że on tu w pole wysłany został po to właśnie, by zginął, by nie wrócił wcale, ale by śmiercią swoją, krwią swą i męstwem utorował drogim swym drogę ku lepszej przyszłości. I to jest moment, w którym rodzi się nieśmiertelność przez drugich, przez wspólnotę krwi, przez jedność rodu. W tym momencie budzi się w człowieku bohater. Kule, śmierć, życie, wszystko to na drugi plan się usuwa. Istotnem pozostaje to jedno tylko: wytrwać na wyznaczonym sobie stanowisku i — zwyciężyć.

Gdy ocenić chcemy należycie wartość tej ofiary życia i krwi, którą bracia nasi w imię swobodnego rozwoju naszego narodowego życia składają, musimy przejąć się tym historycznym tchem, który wojna rzeczy świata owiewa. Prześniemy płakać o tę krew, która tak hojnie na pobojowiskach się sączy. Albowiem ta krew jest tem właśnie, co do podstaw samych codziennego naszego życia sięga, co przebudowuje cały świat naszej kultury. O! ileż rzeczy, które dotąd beźmiernie cennymi się zdąły, w tem nowem świetle, całkowicie postrada swą wartość! I ileż na wartości zyskuje nagle to, co się ludziom małego tchu często marnotrawstwem zdaje!

Tadeusz Dąbrowski.



A N T O N I W A Ś K O W S K I : Ż N I W A .

I ZNOWU ZŁOTE ŻNIWA MI SIĘ MARZA
I GUMNA PEŁNE WIELORAKICH ZBÓŻ —
CO RANO SŁOŃCE WSTAJE Z KRWAWA TWARZA,
CO WIECZÓR TOPI SIĘ W POSOCE ZÓRZ.

I MARZA MI SIĘ TE PSZENICZNE WIĘŃCE,
Z SERCA WYRWANY KAŻDY PLEW I CHWAST —
TAM W POLU MAJĄ ZNOJNE ŻNIWO ŻENŃCE,
U PROGA CZEKA JE SERDECZNY PIAST.

U PROGA CZEKA JE Z CHLEBEM RZEPICHA
I RADA NIESIE PEŁEN MIODU DZBAN — —
NAD WSIA GDZIEŚ PIORUN UTAJONY CZYHA
I ZŁE PO ŚCIERNI PUŚCIŁO SIĘ W TAN.

ZA SADEM SŁOŃCE OGLADA SIĘ KRWAWO,
GONITWY JAKIEŚ SLYCHAĆ W KAŻDA NOC —
ŻALI TU JEDZIE KTO ZE ŚWIĘTA SPRAWA?
ŻALI TO ECHO GRA DALEKICH MŁOC?

GOTUJ SIĘ SERCE, SPRAW SIĘ MŁODA DUSZO,
I PIERSIĄ ZASTAW PRZED PIORUNEM WŁAŚĆ —
WICHRY CI GUMNA NA POPIÓŁ ROZPRÓSZA,
A ZŁODZIEJ PRZYJDZIE TWE PACIERZE KRAŚĆ.

GOTUJ SIĘ SERCE I W POŻARNYM WICHRZE
WYBROŃ OD WROGÓW KAŻDA SKIBĘ PÓL,
CO SA DLA CIEBIE JAK BOGATE SPICHRZE,
CO SA DLA CIEBIE JAKO MIODNY UL.

ZA TOBA STĘGNIE KREW I ŁUNY ZGASNA,
PRZED TOBĄ BĘDZIE SIEKŁ STALOWY GRAD;
CHŁOP — Z ROLI-Ś WYRÓŚŁ, WIEC PO ROLĘ WŁASNA
SPIESZ SIĘ! PRAOJCÓW PRAWEM TWÓJ JEST ŚWIAT.

SPIESZ SIĘ, BO JUTRO, NIM SIĘ ŚWIT POBIELI
Z DOŻYŃKIEM PRZYJDA TU PRZED CHŁOPSKI PRÓG —
PSZENICZNE WIĘŃCE PRZYNIOSA ANIELI,
KORONĘ PIASTÓW ZEŚLE TOBIE BÓG!



ARTUR GROTTGER

POLONIA VII. – SPUSTOSZENIE.

O WY WSZYSCY, KTÓRZY IDZIECIE PRZEZ DROGĘ, OBA-
CZCIE A PRZYPATRZCIE SIĘ, JEŚLI JEST BOLEŚĆ, JAKO
BOLEŚĆ MOJA...

USTAŁY OD PŁACZU OCZY MOJE, STRWOŻYŁY SIĘ WNE-
TRZA MOJE...

WYPUŚĆ JAKO POTOK ŁZY WE DNIU I WNOCY I NIE DA-
WAJ ODPOCZYNIENIA SOBIE A NIECH SIĘ NIE USPOKAJA
ŻRENICA OKA TWEGO...

LEŻELI NA ZIEMI.. DZIECI I STARZEC, PANNY MOJE
I MŁODZIEŃCY MOI POLEGLI OD MIECZA...

TRENY JEREMIASZA.

NOWE KARTY W DZIEJACH LEGIONÓW.

PULK SZÓSTY.

Rozbrzmiewają pola i lasy okolic Rozprzy głosami komend polskich, tupotem maszerujących i ćwiczących i życiem obozu pułkowego.



Dywizjon artylerji VI p. z komend. Pyzińskm.

Fot. z nat. Stroncaż.

Zatarły się powoli na ziemi piotrkowskiej ślady wojennych przeżyć. Zaorane zostały skrzętną ręką polskiego chłopca rowy strzeleckie, a bujny plon zeszedł z niw użyźnionych krwią poległych. Zamilkły działa, które długie miesiące groźbą swą brzmiały niejednemu bardziej bojaźliwemu sercu i tylko obozu polskiego głosy świadczą o nastaniu nowych czasów dla kraju.

Mieszkańcy, którzy z początku czasem może i nieufnie odnosili się do nowego żołnierza, poznali wkrótce, jaki duch tych przybyszów prowadzi i obecnie niejednego z wieśniaków tutejszych spotkać można w oddziałach Legionów. Oddziały te, a przede wszystkim nowo formujący się szósty pułk, świadczą chyba najlepiej o uczuciach wszystkich dzielnic kraju dla Legionów. Choć i moskiewskim najazdem wyczerpany, sypnął Lwów hojnie rekrutem i rekrut ten podstawą stał się do tworzenia nowego pułku. Królewscy dopełnili pułku,

Punktem koncentracyjnym szóstego pułku stała się Rozprza, oddalona o 12 klm. od Piotrkowa. Małe to miasteczko, które prócz rozległego rynku, kilka zaledwie posiada uliczek, przedstawia obraz miejscowości etapowej Legionów. Przez rynek przemaszerowują w różnych kierunkach oddziały, a przed magazynem intendantury gromadzą się grupki nowozaciężnych, przedstawiające ciekawy obraz ze względu na panującą tu różnorodność strojów. Sztab pułku ulokował się w gościnnym i patryotycznym dworze, właścicieli Rozprzy, pp. Żakrzewskich. Wrze praca bez przerwy we wszelkich biurach adjutantury, prowiantury i. i. Dzień i noc pracuje bez wytchnienia adjutant pułku podpor. Dąbrowski, zawsze pełen kłopotów i trosk.

Równomiernie z pracą organizacyjną w pułku postępują ćwiczenia; w sześć tygodni zdołał uzyskać pułk ten stopień wyćwiczenia, na który trzeba w normalnych czasach roku. Pracy wychowawców szkoły podchorążych jest ten świetny wynik przede wszystkim zasługą. Dawno oczekiwany awans na oficerów, był dla nich należną nagrodą. Kompanijni, starzy, obcy w walkach wiarusi, radami doświadczonemi młodszych kolegów wspierali, a najmilszemi dla podkomendnych były chwile, gdy który z nich o bojach przeżytych i trudach opowiadać począł. A każdy prawie miał co opowiadać. Taki por. Hora, Czech, który przydzielony jako lekarz do karpackiej brygady, rzucił pewnego dnia instrumenta



Pułkownik Grzesicki ze sztabem.

Fot. z nat. Stroncaż.

tekarskie i do szturmów z żołnierzami poszedł. I tak w służbie liniowej zasmakował, że nie wrócił już więcej do swego sanitarnego oddziału. A młody podpor. Krzyczkowski, uwielbiany wprost przez swych żołnierzy, który 10 miesięcy ukrywał się w okolicach Lwowa przed Moskalami, ścigany przez nich jak pies, jako „awstryjski oficer”. Lub Piłsudzczy, jak Gigiel, Sikorski, Jarząbkiewicz, Jeziorański i. i., którzy losy I. brygady dzielili. Ponad wszystkich zaś wybija się postać komendanta pułku, majora Ryłskiego. Wiecznie zły, zachmurzony i nigdy nic zadowolić go nie potrafi. Zeklnie za byle drobnostkę, każdego bez względu na rangę, a w gruncie rzeczy chodzi mu o każdego poszczególnego żołnierza i gotów się klócić z każdym, toby o jednego szeregowca próbował zmniejszyć jego pułk. Drżą też przed nim wszyscy, lecz cenią go, szanują i wierzą mu równocześnie.

Wierzą mu, że w bój zwycięski powiedzie swe szeregi, w bój ostatni i decydujący. I wiecznie w pułku powtarza się pytanie: „Czy słyszałeś? Jutro, pojutrze, za trzy dni” — każdy wie, że chodzi o wymarsz i każdy tego pragnie.



Oddział konny VI p. defiluje przed pułkownikiem Grzesickim.

Fot. z nat. Stroncaż.

a weterani Piłsudskiego i brygady karpackiej ćwiczeniem rekruta się zajęli.

W. Sz.

BRZEŚĆ LITEWSKI.

Staęła Brygada w spalonej wsi Koroszczyń, okrążona ciszą przestworów ogromnych. Widniały zdala forty Brześcia. Chęć zwiedzenia potężnej



Pod Brześciem

fot. z nat. J. Kluss.

twierdzy łączyła się z jakimś mocnym uczuciem zaburczości. Zwiedzić reduty, o których cuda opowiadano, w ciszy niezdobytých kazamat dumać o pokruszonych kajdanach niewoli, między złomami poszarpanych fortów napawać się uczuciem tryumfu. Podsycając moc wyobraźni wspomnieniem widzianych planów twierdzy, wspomnieniem opowiadań dorywczych, tworzyliśmy idealny obraz zmiażdżonej potęgi wroga. O świcie wkroczyliśmy wolnym, oględnym krokiem w promień forteczny. Droga wiodła przez zgliszcza czarne, ponure. Druty kolczaste, bezsilne już, opasywały wstępny pasmem obrony przestrzenie ogromne. Sterczało między zgliszczami stare drzewo z przystawioną drabiną. Obserwatorium rosyjskie. I zwidziała się nam czujna warta nieprzyjacielska, zsuwająca się z drzewa, aby zawiadomić swoich, że wróg idzie. Idą gromady, toczą się



Fort Terespol wysadzony w powietrze.

Fot. J. Kluss.

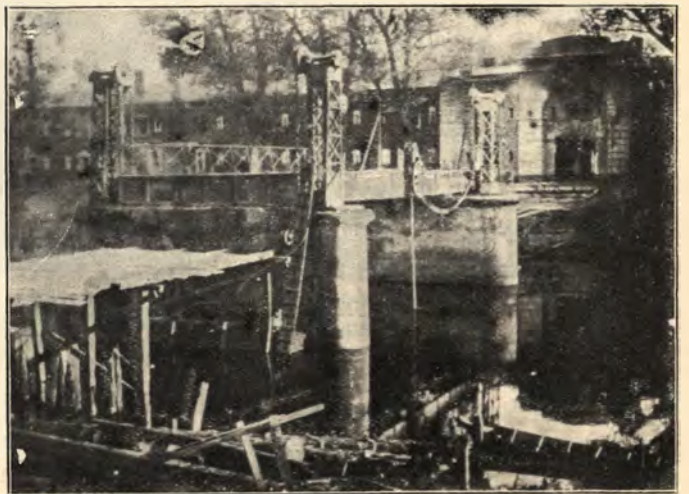
straszliwe działa oblężnicze. Jakże grały wspaniale! Pociski sprzymierzonych huraganem zwały się na fort Koroszczyński. Celne, niezawodne, pękały wewnątrz betonowych chodników. Poprzez dwadzieścia kilka rzędów drutów kolczastych, poprzez rowy wodą wypełnio-

ne, pękające granaty szerzyły między Moskalami zniszczenie.

Droga prowadziła na Terespol. Tam cały tragizm współczesnej wojny ujawnił się z posępną jawnością. Fort wysadzony w powietrze. Złomy niesłychanej wielkości rzucone jak gdyby ręką olbrzyma, całe góry żelaza poszarpane do niemożliwości, pole walki tytanów, mitologia cywilizacji współczesnej opowiadana basową mową potężnych armat. Taka straszliwa była ta mowa, że nie zdążyli Moskale zniszczyć warsztatów, magazynów amunicji, zapasów nieprzeliczonych. Wszędzie panowała cisza i pustka. Samotni zbliżaliśmy się ku twierdzy. Jak gdyby Los sprawiedliwy wysłał nas tutaj, dlatego, że należało się nam zadośćuczynienie za krzywdę odwieczną, dlatego, że tutaj niedawno jeszcze stukwały twarde buty żołnierzy rosyjskich,

Coraz widoczniejsza była złamana potęga twierdzy. Wisiały w powietrzu szczątki zniszczonych mostów. Szlaki rzeki i rowów wypełnionych wodą wiązały się misternie.

Na sieć ich niedostępną rzucono już pontony i nowe mosty. Nakoniec wjechaliśmy do Brześcia. Nowożytnie Herkulanum i Pompei. W mieście wielotysięcznym ani jednego mieszkańca. Część miasta spalona, domy osmalone, pocerniałe, ulice zasypane gruzami. Wszędzie wi-



Zniszczony most kamienny z cytadeli.

Fot. J. Kluss.

dniała chęć zniszczenia dokonanego częściowo tylko. Pustka zwała się na nas przytłaczającym ciężarem. Zdawało się nam, że nie wydostaniemy się już nigdy z pomiędzy tych ruin, z pomiędzy gromad domów, których drzwi otwarte oplakiwały nędzę wypędzonych. Wreszcie przybliżyliśmy się do wrót cytadeli.

Serce Brześcia zamarło przebite. Wznosiły się reduty podobne do gór, ciągnęły się pola całe zasypane wprost łuskami granatów. Leżały bezładnie setki ławet i dział zniszczonych. Ogarniało zdumienie, że pyszną tę twierdzą Moskale oddali, że taka niechybna jest moc wymowy armat. Dla nas, Brygady był ten widok miarą mocy wroga i miarą bezgranicznych możliwości. Opuszczaliśmy Brześć z duszą opancerzoną twardym marzeniem o podbojach, z rycerską litością dla poległych wrogów, leżących pokotem w głębokich rowach, poszarpanych granatami, czarnych jak kruki żerujące już nad nimi.

Seweryn Romin.



Żelazny płót pod Brześciem Litewskim.



Fort Koroszczyński.

Fot. J. Kluss.

NA POZYCYI.

Wchodzę do wiejskiej chałupy. Przy stole siedzi pułkownik Zieliński; ścianami wstrząsają strzały armatnie.

— Zjadłbyś pan co? — pyta mnie — nic panu nie dam, bo sam nie mam. Chcesz pan pić? Wino stoi!

— Dziękuję, napiję się! — odpowiadam i nalewam sobie kieliszek. — A możeby, poddaje, powiedzieć babie, to zgotuje mamałygi.

A wiesz pan co, to dobra myśl! — powiada pułkownik.

W tej chwili paskudnie trzasło tuż koło nas.

Wyszedłem, by zamówić mamałygę, a kiedy wróciłem pyta pułkownik:

— A zabezpieczyłeś pan swój batalion?

— Nie, panie pułkowniku.

— To idźże pan.

— Moskale nie strzelają do mego batalionu, bo go nie widzą — odparłem, ale do chałupy, w której siedzimy.

— No proszę — powiada pułkownik — nie myślałem.

Zagłębił się w studyowaniu mapy i przesiedział tak z pół godziny. Wreszcie doczekaliśmy się mamałygi, która nam bardzo smakowała.

Nazajutrz znalazłem wokoło chałupy przeszło dwadzieścia wyrw, które poczyniły granaty.



Pułkownik Zieliński.

STANISŁAW WITKIEWICZ.



St. Witkiewicz. Rys. Wyczółkowski.

Dnia 14-go b. m. zmarł w Lowranie jeden z pomnożycieli kultury polskiej: Stanisław Witkiewicz.

Przed trzydziestu laty rozpoczął na łamach warszawskiego „Wędrowca“ walkę z obskurantyzmem artystycznym szeregiem artykułów krytycznych i polemicznych, z których potem powstała jedna z najwybitniejszych u nas książek z tego zakresu: „Sztuka i krytyka u nas“. Torował drogę świeżym kierunkom i nowym talentom, jak Chelmoński i Gierymscy. Nazywało się to wtedy propagandą naturalizmu, ale było czemś o wiele więcej: walką o sztukę polską. Przeminał naturalizm, ale płodną była dla sztuki działalność Witkiewicza, oparta na zasadzie, że „wartość dzieła sztuki stanowi nie ta, lub owa idea, w imię której zostało stworzone, lecz siła talentu jego twórcy“.

W imię tej zasady oceniał wszystko i wszystkich, nie czyniąc wyjątku dla Jana Matejki. Być może, że pejzażysta Witkiewicz, późniejszy twórca „Obłoku“ i „Wiatru halnego“, nie mógł całkowicie zrozumieć takiej indywidualności, jaką był historyzof Matejko. Prawda, że Matejko-indywidualność w ramach jego teorii się nie mieści, ale mieści się zupełnie Matejko-malarz. Wielkość Matejki polega nie tylko na malarzkiej wartości jego dzieł. Walka zaś z t. zw. „literaturą“ była samoobroną sztuki przed fałszywym idealizmem epigonów, przemycających w fałdach historycznej draperyi tandetę, podpisaną patryotycznym frazesem, była krzewieniem oświaty estetycznej, budowaniem fundamentów artystycznej kultury.

Był to równocześnie epizod walki, jaką toczy intelekt polski z historycznością, niebezpieczną — w swoim nadmiarze — nie tylko dla życia sztuki, ale dla życia wogóle. W walce tej protagonistą był Wyspiański i z niej wydobywał nowe, własne życie twórcze. Inni poszukiwacze rzeczywistości polskiej znaleźli ją gdzieindziej, cały szereg poetów i malarzy znalazł ją w Tatrach.

Czem były Tatry dla polskiej sztuki i kultury zanim je zbanalizowano? To pewna, że nie tylko „tematem“.

Ludzie z duszą odnajdywali tam „swobody ołtarze“, niepokalaną przyrodę i człowieka niepopuszonego cywilizacją, tam chroniła się i tam się rodziła tężyzna ciała i ducha, ta sama, co dziś, wyzwolona przez wojnę, naród wyzwala.

Witkiewicz należy do tych, którzy najgłębiej przeżyli Tatry; „naturalista“ znalazł tam — naturę, człowiek odnalazł człowieka, artysta skarbnicę motywów, źródło i zarazem warsztat pracy twórczej. Powstaje książka „Na przełęcz“, jedna z najpiękniejszych, jakie istnieją, arcydzieło polskiego stylu, wspaniały dokument życia się z przyrodą, pisana tak, jak może pisać tylko malarz, który słowem włada równie dobrze jak pędzlem. Ale twórcza działalność Witkiewicza nie ogranicza się do literatury i malarstwa, obejmuje ona architekturę i zdobnictwo, powstaje styl zakopiański, reforma Szkoły przemysłu artystycznego; Witkiewicz rozpoczyna nową kampanię o sztukę. I jak w tamtej, pierwszej walce z „literaturą“ w sztuce nie wszystkie sądy i poglądy mogły się utrzymać, tak i teraz, w walce o styl zakopiański nie wszystko, co stworzył, wytrzyma próbę czasu; ale na zawsze z rozwojem kultury polskiej związane będzie imię pioniera-Witkiewicza.

Był on jednym z tych ludzi Norwidowych, którzy chcieliby, żeby użyteczne było zarazem piękne, i czego się dotkną, zmieniają w sztukę. Tacy ludzie rzucają mosty między sztuką i rzemiosłem, między pracą i twórczością i nie można mierzyć ich miarą tylko artystyczną, zapoznawać społecznej strony ich działalności: Witkiewicz, to nie tylko artysta, ale cały człowiek.

Więc szuka, rozumie i umie uszanować przedewszystkiem człowieka. I jeśli nam mówi, że to samo człowieczeństwo jest pod siermięgą, co pod purpurą, to nie jest to doktryna i teoria, ale wyraz najgłębiej oświadczonego przekonania. Dlatego nie potrzebował „zbliżyć się“ ani zniżać do ludu góralskiego, wśród którego osiadł, dlatego bliższym, niż ludzie „dółscy“, był mu ten chłop, co to chciał być mądrym człowiekiem, a przecie „chłopem polskim ostać“.

Ostatnie lata musiał spędzić zdala od ukochanych Tatr i zdala od forum życia umysłowego Polski, które o nim prawie zapomniało. Ale on nie zapominał i aż do końca żył tem, co w Polsce było najbardziej żywe, czego dowodem, niestety ostatnim, są drukowane w pismach wyjątki z listów do rodziny, odnoszące się do Legionów i sprawy polskiej.

Więc kiedy przyjdą czasy spokojne, Polska przypomni sobie, kim dla niej był, jest i będzie Witkiewicz.

K. B.

LUCYAN RYDEL: WILNO.

II.

Późnym wieczorem, w przejmującą wiosenną słotę, zjechałem z Warszawy do Wilna. Kolejowy „artiel-szczyk“ o białym fartuchu i czarnym kaszkiecie, niosąc moją walizę, torował mi w tłumie przyjezdnych drogę do wyjścia. Przed dworcem, w świetle gazowych latarni doróżki, jedna w drugą „istinnno russkie“: konie w hołoblach, na koźle same kacapy brodate w tułubach futrzanych i ceratowych, niskich cylinderkach z wysoko podwiniętymi kresami; w Moskwie czy Saratowie nie mógłby doróżkarz wyglądać inaczej. Wyboru nie było.

wsiadłem do pierwszego lepszego powozu, rzucając „izwoszczykowi“ nazwę hotelu. Ruszyliśmy klusa.

— Czy będziemy przejeżdżali przez Ostrą Bramę — pytam w nadziei, że mój automedon musi chyba rozumieć po polsku.

— Ostra Brama? Wnet będzie... — odpowiada śpiewnym, czysto litewskim akcentem.

— Jak tobie na imię? — pytam chłopaka zdziwiony.

— Kazimierz, panie.

— Katolik? Polak?

— Tak panie, ja tutejszy.

— A tamci, inni doróżkarze?

- Wszystki o swoi.
- A czemu wy tak ubrani?
- Policja kazala...

Zwolnil jazdy, cylinderek ceratowy zdjal z glowy i wskazujac reką przed siebie, powiada:

- Ot i Ostra Brama...

Jechalismy stepa. Na tle nocnego nieba czernila sie krepa czworograniowa wieza Noga z nogi z odkrytymi glowami wjechalismy pod jej niskie okragle sklepienie, a potem w dosc wazka ulice, pologo zbiegajaca ku dolowi. Swiatlo kilku latarni ulicznych zlotawemi smugami odbijalo sie na molych brukach. Mimo poznej godziny, tu i owdzie modlilo sie kilka osob, klęczac na wilgotnym chodniku. — Woznica jeszcze bardziej zwolnil i z kozla obejrzał sie na mnie pytajacym wzrokiem.

- Dobrze; stancie, Kazimierzu...

Wysiadlem — i jak tańci — uklaklem:
Panna Swieta, co jasnej bronisz Czestochowy
I w Ostrej swieczisz Bramie...!

Nazajutrz, po kilku zaledwie godzinach, czulem sie w Wilnie tak swojsko, jakbym od lat calych zwiazany byl z litewską stolicą. Bo tez dostalem sie w rece ludzi, którzy serdecznoscia i najwyzszym wdziękem prostoty i szczerości mogliby nawet kamien rozgrzac i rozruszac. Wprawdzie nie zastalem w nieście Ferdynanda Ruszczyca: slynny artysta musial niestety wyjechać do siebie na wieś, powolany sprawni gospodarzemi — jedyny czlowiek znany mi tutaj osobiście i z bliska; lecz i ci Wileńczycy, którzy sie mną gościnnie od pierwszej chwili zaopiekowali, umieli z niestrudzonym zapalem i niezwyklem zawnstwem pokazac mi wszystkie piękności, pamiatki, zabytki Wilna i co więcej — w przeciągu dni paru wprowadzili mnie w wewnetrzne, przytlumione, a jednak pomimo wszystko tak skupionem tętnem bijace i tak pelne prawdziwej polskosci zycie tego przedziwnego miasta.

Na ogol śródmieście wileńskie żywo przypomina Kraków, a potrosze Stare Miasto warszawskie: podobne domy o jednym piętze albo dwupiętrowe, niekiedy podparte przysadzistemi szkarpami, czestokroć uwieńczone malowniczą attyką lub wdzięczną facyatką; mury wielu z tych kamienic pamietaja moze jeszcze dobe Odrodzenia, lecz pozniejsze naprawy i przebudowy zewnetrznie je przekształcily, nadajac jednej cechy baroku, drugiej znamiora rokokowe, innym charakter stylu cesarstwa. Oko pada co chwila to na jakis portal kamienny z korynckimi kolumnami, albo na slizny stiukowy fryz, biegnacy gdzie popod okna; tu wzrok ciekawy zapuszcza sie w glab ciemnej, sklepionej sieni, tam slizga sie po giętkich, szlachetnych liniach mansardowego dachu, krytego poczernala dachowka w „karpia luske“.

Ulice — jak zwykle w starych miastach — wazkie, krzywe, niekiedy rozszerzaja sie ni stad ni zowad, czy zalamujaja niespodzianie pod katem. Na szczescie, daleko starym dzielnicom wileńskimi do tej bezdusznej prostolinijnosci nowomodnych „coursów“, wytyczonych pod sznur i paradujacych banalnym przepychem fabrycznej ornamentacyi. Taki wlasnie jest w Wilnie tylko Prospekt Swiętojerski, przypominajacy wszystkie na swiecie „pryncypalne“ ulice, budowane wedle nowoczesnej modly:

- Szerokie, dlugie jak wawozy w górach —
- Domy ogionne: tu glazy, tam cegly,
- Marmur na glinie, glina na marmurach
- A wszystko równo — i dachy i sciany
- Na domach pełno tablic i napisów...
- Jak korpus wojska na nowo ubrany;

Po takim Prospekie Swiętojerskim latwo przebaczyć starym dzielnicom Wilna ich niegodziwe bruki z „kocich lbów“ i chodniki ukkladane z drewnianych dylów — po których ludzie chodzą jak po moście. A nie już bardziej malowniczego, jak najstarsze moze i co prawda najbardziej zaniedbane uliczki wileńskie, zwane tutaj



Zaułek Lidzki.

Drzew. Muz. Czapskich.

„zaułkami“. Taka uliczka ciasna, kręta, odludna i jakby od wieków zapomniana, biegnie wśród niskich, w ziemię wrosłych domostw z zakratowanymi okienkami, wśród skośnych, odrapanych murów, ponad które wychylaja się tu i owdzie gałęzie drzew albo zwisaja girlandy dzikiego wina. Na jednym z takich zaułków, na Skopówce mieszkali razem Zan, Czeczot i Kowalewski i tam, u nich zawiązalo się Bractwo Filarek, tylko nikt nie umie już wskazać, w którym domu.

Na ulicach Wilna wpada w oczy mnóstwo mundurowych Moskali, urzędników i oficerów;

Ten w futrze ciepłym, lecz nawpół odkrytym.

Aby widziano jego krzyżów cztery:

Zmarźnie, lecz wszystkie pokaże ordery...

Nierzadko widzi się popa, co brodą rozdzieloną i długimi, gładko wylizanymi włosami paroduje Chrystusa Pana jak istny Antychryst. Poza tem jednak miasto nawskróś jest polskie, jak Warszawa lub Kraków i tego zmienić ani ukryć nie mogą sztucznie narzucone pozory moskiewszczyzny. Nie czyta się już na szczescie nigdzie tych pamietnych napisów: *Waspraszczajesia garworit' pa polski*, ale nazwy ulic dotąd jeszcze wypisane tylko po rosyjsku i nad sklepami napisy polskie są ciągle jeszcze zakazane surowo.

Ktoby wiele oczekiwiał po katedrze wileńskiej, ten dozna wielkiego rozczarowania. Plac katedralny pusty i smutny, nic prawie nie zostało na nim z przeszłości, choć przeszłość jego tak była wielka i bogata. Tu przecie stał zbudowany jeszcze w gotyckiej epoce Niżny czyli Krzywy zamek, gniazdo Gedymina i Olgerda, później, od Jagiełły, mieszkanie tyłu królów polskich; po

rozbiarach popadł w zupełną ruderę i rozebrano go do szczętnie. Nie pozostał również ani ślad po radziwiłłowskiemu pałacu, w którym przy boku matki przeżywała swoje krótkie wdowieństwo Barbara Gasztoldowa. — Ogrody zamkowe i radziwiłłowskie stykały się z sobą i w nich miewał Zygmunt August czule schadzki z piękną panią. Sama zaś katedra tak jest gruntownie przez Gucewicza przebudowana na jakąś pseudogrecką świątynię i obstawiona niby klasycznymi kolumnami, że się domyślić nawet nie można, jak niegdyś wyglądała. Jak można było najczcigodniejszą w całym Wilnie pamiątkę narodową, sięgającą czasów Jadwigi i Jagielly tak do cna obedrzeć z wszelkich znamion dawnej chwały! Bo i wewnątrz nie pozostało nic prawie na świadectwo dawnym wiekom. Gdzieś na uboczu, w mroku błyszczy złotem tłem obrazek Bogarodzicy podobno Witoldowi przysłany ze Wschodu, a pod wielkim ołtarzem jest zejście do lochu, gdzie pokazują szczątki glazów z pogańskiego znicza — to wszystko! Chyba, żeby wspomnieć o kilku dobrych obrazach Smuglewicza i Czechowicza, które wyzierają z bogatych ram ołtarzowych — ale to tylko historia sztuki polskiej — dziejów polskich, sławy polskiej niema w tym kościele, po za jedyną kaplicą św. Kazimierza, pod którą nie wiadomo nawet czy spoczywają jeszcze prochy Witolda i dwu żon Zygmunta, Austriaczek, Elżbiety i Katarzyny. Skarbiec katedralny, choć pelen drogocennych monstrancji, kielichów, ornatów, inful, gobelinów, nie może pocieszyć po stracie wszystkiego, co w tym kościele musiało być, a bezpowrotnie przepadło.

Za katedrą i placem katedralnym rzeka, Wilenka, wygiętem kolaniem wrzyna się w miasto. Na jej drugim brzegu wysokie wzgórze opadające stokami ku wodzie, to Góra Turza z okruciami Gedyminowych murów i sześcioboczną basztą, jedyną pozostałością Wyżniego zamku. Tam, na górze, wedle podania, przodek Jagiellonów

Przy ognisku myśliwskim na niedźwiedziej skórze
 Leżał, słuchając pieśni madrego Lizdejki
 A Wilii widokiem i szumem Wilejki
 Ukołtysany, marzył o wilku żelaznym
 I zbudzony — za bogów rozkazem wyraźnym
 Zbudował miasto Wilno...

Dalej, poza górą zamkową, zamykają z tej strony widnokrąg dwie od niej wyższe i bardziej strome góry: Trzykrzyska i Bekieszowa. Ich zbocza urwiste i gdzie-niedzie obrosnięte drzewami schodzą ku brzegom rzek, ponad którymi rozsiadły się amfiteatralnie domy i domki tulące się wpośród ogrodów.

Tu, nad Wilenką, u stóp góry zamkowej, rozciąga się ogród, niegdyś botaniczny uniwersytetu wileńskiego. Po tym, dość rozległym, ale dzisiaj zupełnie zaopuszczonym i zdziczałym parku, aniby się nikt nie domyślił, że tutaj swego czasu X. St. Jundziłł, profesor botaniki, hodował najrzadsze rośliny i prowadził naukowe cieplarnie, pełne egzotycznych krzewów i kwiatów. Pod ręką rosyjską wszystko zniszczało; po zamknięciu uniwersytetu, najcenniejsze palmy wywieziono do Petersburga, reszta przepadła. Idąc tamtędy w pochmurny poranek wiosenny, słyszę podzwaniające mi w duszy jakby smutne jakieś echo słów Pana Tadeusza:

Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie
 Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie
 I na południu w owej pięknej włoskiej ziemi...

Tak na każdym kroku w Wilnie więcej się myśli, czuje, wspomina niż się widzi, bo tu wszędzie więcej było i więcej niszczało, niż pozostało.

Dzień jest chłodny, deszczowy. Idziemy przez ulicę Niemiecką, przecinającą żydowskie rojowisko, zwane tutaj Czarnem Miastem; poprostu krakowski Kazimierz, ale w samym środku Wilna szwargocący i kupejący wszystkim, czem tylko można kupeć. Wśród tych brudnych, odrapanych domów, pełnych tartasu i gwaru, pokazują mi jeden, od innych nie różniący się niczem, jednopiętrowy, obwieszony szyldami sklepów i składów: tu rodził się Julian Klaczko. Jaką drogę w swoim rozwoju przeżył ten wielki umysł — z takiego kramarskiego gniazda na wyżyny kultury europejskiej, chrześcijańskiej cnoty i najgorętszego patriotyzmu polskiego.

O kilkaset kroków dalej obszerny plac, a na nim ratusz, nie zaciekawiający niczem. Ale miejsce samo budzi ponure wspomnienie historyczne: tu w r. 1794 powieszono zdrajcę, hetmana Kossakowskiego. I jak żywe staje przed oczyma wstrząsające opowiadanie w ostatnim akcie *Horsztyńskiego* o tej egzekucji ludowej: ten szlafrok w kwiaty i ta pod szubienicą w ręku skazańca kurczowo ściskana papierowa tabakierka — skąd wziął te szczegóły Słowacki? Może z żywej jeszcze naonczas tradycji? Tu ramy i tło gotowe do tej wstrząsającej sceny... W prawo zaczyna się ulica Ostrobramska, taka jak wszystkie w starym Wilnie. Po jednej stronie szereg starożytnych domów, po drugiej kościół św. Teresy z klasztorem ex-karmelickim — w głębi Ostra Brama. Nic imponującego, żadnej wspaniałości; nad niskim łukiem bramy wielkie oszklone okno otwarte na oścież a przez nie świeci, promienieje obraz wielki, błyszczący srebrzystą sukienką, ponad



Ulica Ostrobramska.

Drzew. Muz. Czapskich.



którą w kolisku złotych promieni ciemna twarz i ręce ciemne, skrzyżowane na piersiach. Widać postać tę z daleka, bo kaplica nad bramą płytka, tak płytka, że i ksiądz odprawiający Mszę widnieje z daleka jak na dłoni. W ulicy wielka cisza — choć tłumno. Ruch pojazdów i pieszych znaczny, bo tędy droga na kolej, toczą się wózki ciężarowe, ciągną powoli doróżki, a wszystko przecie takie ciche, takie skupione jakby droga prowadziła poprzez kościół. Od połowy ulicy obnażają się głowy, milkną rozmowy; na chodniku pełno klęczących. Widziałem rosyjskich żołnierzy i oficerów, jak pokornie szli trzymając w ręku zdjęty z głowy kaszket — widziałem robotnika, co niosąc oburącz wózek na grzbiecie, przystanął — czapkę zdjął, włożył sobie w zęby i dalej dźwigał swój ciężar — byle z odkrytą głową. Nawet żydzi zdejmują przed obrazem kapelusze.

Msze odprawiają się tu codziennie przez cały ranek, jedna za drugą aż do 11 godziny; wieczorem o 6. tłumy klęczące na ulicy odmawiają za księdzem Litanię Loretańską, do niedawna jednak tylko po łacinie, po polsku zakazano. I napis nad bramą niegdyś polski — : „Pod Twoją obronę uciekamy się“ musiano zastąpić łacińskim.

Przez ciasny, ubogi krużganeczek, po wązkich, półciemnych schodach dostają się do kaplicy. Małeńka, przez otwarte okno zalana światłem, które ślizga się po ubogich, bielonych ścianach i ciemnych marmurach ołtarza, błyszczy w tysiącach wotów, gra iskrami w drogich kamieniach, rozsianych po srebrnej sukience Matki Boskiej.

Przed jej majestatem bolesnym gromada klęczących postaci, głowy kornie zgięte, albo podniesione ku Niej z tym wyrazem błagalnym, który skarży się i ufa i kocha. W oczach łzy. Coś człowieka ścisła za gardło, coś mu przesłania źrenice wpatrzone w ten

obraz tyłu cudami wslawiony

Bogarodzicy Panny, Królowej Korony
Polskiej; zowią Ją dotąd i Księżną litewską!
Koronę jeszcze dotąd piastuje królewska —
Lecz na Litewskim Księstwie teraz szyma siedzi!...

Usta słów modlitwy znaleźć nie umieją, ale dusza wybucha jakimś wewnętrznym krzykiem i żali się nie nad sobą, żebrze nie dla siebie, chciałaby wypłakać cały ból tej ziemi najnieszczęśliwszej, bo najdłużej i naj-srożej gnębionej.

FRANCISZEK PIK: OPŁACIŁO SIĘ.

Krzyki i zgiełk odaliły się tymczasem szybko. Od czasu do czasu zajęczało jeszcze: Hurra! Hurra! Potem głosy rozpełzły się, wsiąki w noc, przepadły. Tylko grzechot żab wojennych trwał dalej nieprzerwanie, daleki, stonowany już z wieczorem letnim, światłem księżycy... pokojowy... słodki niemal.

— Wam może małaka? — spytałem rannego. U mnie jest... Chatitje li?

Nie wiem sam jakbym mu mógł dać tego mleka nie mogąc się zbliżyć. Wargi jednak same wypowiedziały propozycję. Począłem tedy czynić wysiłki, aby spełnić, com powiedział.

— Paszol won! — odchrypiał głos. Potem dodał jakieś przekleństwo w narzeczu, które mogło mieć dalekie powinowactwo z językiem niemieckim.

Idziemy Trocką ulicą; drobny deszcz ze śniegiem prószczy zrzadka. W głębi rozległego dziedzińca stoi kościół po-franciszkański, okazały ceglany gotyk w rodzaju krakowskiej św. Katarzyny, ale zniekształcony późniejszymi przeróbkami. W temsamem miejscu w czasach jeszcze pogańskich zbudował był Gasztold kaplicę drewnianą tym Franciszkanom, którzy śmierć męczeńską ponieśli potem na Górze Trzykrzyskiej. Za Jagielly stanął tu murowany kościół a przy nim obszerny klasztor — ognisko średniowiecznej cywilizacji zachodniej. Dzisiaj smutna rudera. Wejście w pięknym, kamiennym portalu barokowym, na głucho zabite od r. 1863 i świątynia, jedna z ciekawszych w Wilnie, na powolne zniszczenie skazana. W klasztorze jakieś biura, składy, rupieciarnie. Lecz w kilku salkach niewielkich mieści się archiwum dawnych aktów miejskich bardzo cenne i doskonale prowadzone. Archiwaryuszem jest wielki znawca i miłośnik starego Wilna, całym sercem jego zabytkom oddany p. Studnicki. Drobny, ruchliwy człowieczek, o bystrych i błyszczących oczach, z zapamiętaniem daje wyjaśnienia, pokazuje dyplomy z pieczęciami, podpisami królów polskich, starannie przechowane, rozkłada nieoszacowane plany dawnego miasta, zdumiewa głęboką znajomością dziejów starego Wilna.

Więc jednak w tem rozbiciu, w tym ucisku znajdują się ludzie niczem nie zrażeni, zdolni mimo wszelkich przeszkód ratować od zagłady co się tylko da, zbierać, badać, kochać drogocenne relikwie przeszłości polskiej a przyszłości służyć tak wiernie i niestrudzenie.

Jeden z okazanych mi dokumentów szczególnie utkwił mi w pamięci, choć treść jego najobojętniejsza w świecie: jakieś rozporządzenie, dotyczące porządku na targach wileńskich, wydane przez Zygmunta Augusta. Lecz w zakończeniu król wyraźnie poleca ogłoszenie tej ustawy targowej w t r z e c h j ę z y k a c h : p o p o l s k u , p o r u s k u i p o l i t e w s k u . Taka tolerancja, takie równouprawnienie językowe w XVI stuleciu i to w temsamem Wilnie, gdzie teraz, w XX. w. nazwy ulic, napisy sklepowe i wszelkie ogłoszenia publiczne mogą być tylko rosyjskie, w temsamem Wilnie, gdzie do niedawna nie wolno było rozmawiać głośno po polsku! Jakaż różnica pomiędzy nami a nimi; bez próżnochwaltwa możemy sobie powiedzieć, że nasza sprawa jest dobra i słuszna nie dlatego, że jest naszą, ale dlatego, że jest sprawą cywilizacji, wolności, sprawiedliwości, które za naszych rządów były tu już przed czterema wiekami, gdy oni dziś, po czterech wiekach zdolni są tylko niszczyć, gnębić i gwałcić wszelkie prawo boskie i ludzkie.

C. d. n.

— Wollen Sie etwas Milch? — spytałem po chwili.

Ranny poruszył się, jęknął i zapytał po niemiecku jakimś dziwnym akcentem:

— Któż pan jesteś? Co pan tu robisz?

— Jestem Polak. Raniony o ile wiem, w nogę. Wyszedłem za miasto po wiktuały i zaskoczyła mnie biłwa. Co panu jest? gdzie pan ranny?

— Nie wiem. Boli mnie całe ciało. Ale miarkuję, że wszystkiego, że mam kulę w kości biodrowej.

Zacząłem powoli zmieniać pozycję i przybrać takie położenie, któreby mi dozwoliło sięgnąć blisko rannego i razem z nim napić się mleka.

— Nie ruszaj się pan! — powiedział mój towarzysz. Nie ruszaj się, kiedy cię boli. Głupi sentymentalizm słowiański... — dodał po chwili.

— Niemcy są nierównie bardziej sentymentalni! — odparłem.

— Przedewszystkiem to nieprawda. Przez cały dzień, przez przeciąg załatwiania interesów są trzeźwi... trzeźwi aż do okrucieństwa. Sentymentalizm zaczyna się o 6-tej wieczór, po feierancie... między kolacją a spaniem i płynie na falach piwa... Poza tem zresztą nie jestem wcale Niemcem... Jestem Finlandczykiem. Czułokowość wasza, słowiańska, tem się odznacza, że wybiera sobie do zmanifestowania czas najniekorzystniejszy dla danego osobnika. Ba... wy nawet działając na swoją własną korzyść, nie możecie nie ponosić jakiejś szkody... wy jesteście wogóle urodzeni marnotrawcy... Zresztą jeśli możesz, wsadź mi pan ten tornister pod głowę... Taaak. Dziękuję. Uff! Czekaj pan. ..jeszcze trochę odpocznę. Trzeba panu zresztą wiedzieć, że miałem wczoraj wybuch krwi. My jesteśmy do służby w piechocie nie bardzo sposobni... Widzisz pan... wielkie obszary... proch. Nam trzeba słonego powietrza i dużo... dużo wilgoci. Byłe jakiś mały mankament w piersiach, z którym w pokoju żyłby człowiek sto lat, a tu... zaraz... suchoty. Ot co. Toczno taks. Saperment!... to jest miałem powiedzieć... .. twoju mać... Ale mniejsza. Nikogo przecież niema. Dawaj pan to mleko...

Pił chciwie. Śledziłem zazdrośnie przechylenie się powolne blaszanki. Palilo mnie pragnienie spotęgowane jeszcze widokiem pijącego. Napilem się wreszcie i ja i wstąpiła w nas obu otucha.

— Nie bój się pan nie! — rzekł mój towarzysz. — Mam latarkę elektryczną i syrenę... a oto gwintówka ze sztykiem tam jak widzę. Będziemy dawali sygnały. Tylko nie zaraz. Nie teraz. Która to może być godzina. Czekaj pan... poszukam zegarka, tylko sobie po tem picciu odpocznę trochę... Potem... gdy pójdą kozacy... bo kozacy zawsze lażą po polu bitwy... potem będziemy dawali sygnały. Dyabeł wie, kto wygrał dziś. Ale zawsze jacys sanitaryusze będą poległych obszukiwać... to jest chciałem powiedzieć... będą szukać rannych.

Umilkł wyczerpany. Przez długi czas panowało milczenie. Oparci, o pochylą ścianę dołu, siedzieliśmy niemi. Otoczyła nas czarowna cisza nocy księżycowej, której urokowi, nawet w tej sytuacji oprzeć się było trudno. Siedzieliśmy rozmarzeni. Zdawało mi się już, że towarzysz mój zasnął, gdy wtem doszedł mnie jego cichy szept: Mówił do siebie w ojcystym swoim języku, przeto nie rozumiałem ni słowa. Ale po chwili, widąc party chęcią zwierzenia, zaczął po niemiecku:

— Szkoda mi tylko porzucać to, co zacząłem, szkoda mi tej cząstki powierzzonej mi pracy, której już nie dokończę... Właściwie, to my jesteśmy bracia... wy i my. Bracia po cierpieniu. Dlaczegoż więc nie powiedzieć panu. Żal mi umierać, bo tam..., w domu będzie luka. O... wypełni się. Ale zawsze będzie przez czas jakiś luka. Widzisz pan. Wy jeszcze nie nauczyliście się nienawidzić. Wy ...po stu latach niewoli jeszcze nie umiecie silnie, mocno nienawidzić ciemniejszych. Wy tylko narzekacie. Ach... wy biedni Polacy. Kiedyż nauczycie się nienawidzić? Wierz mi pan, nienawiść może być równie dobrem źródłem cudu, jak miłość. Nienawiść jest stopniem pierwszym, na który wstąpić trzeba, chcąc pokochać... Szkoda, że nie umiecie nienawidzić, jak my.

Umilkł znowu, jakby się rozmyślił i nie chciał dalszych zwierzeń.

— Podajno pan ten karabin... taak. Tu z boku na piersiach jest latarka. Zaświeć pan. Teraz weź pan tę syrenę. Wsadź pan na sztyk latarkę i wzniośszy wysoko, machaj nią. Przytem trzeba gwizdać syreną. To jest,

uważasz pan, mała okrętowa syrena. Słyszać bardzo daleko.

Uczyniłem jak kazał, przetknąłem przez kółko latarki sztyk i wzniośszy jak mogłem najwyżej, machałem przez chwilę w prawo i w lewo. Jednocześnie gwizdałem przeraźliwie syreną. Ranny przyglądał mi się, potem oświadczył, że dość tego dobrego. Przez czas jakiś nasłuchiwałem, czy się kto nie zbliża.

Nie czekaliśmy długo.

Ktoś szedł istotnie. Kroki ciężkie, nierówne zbliżały się wprost ku nam. Wstrzymaliśmy oddechy.

— Dawaj pan prędko karabin! — szepnął ranny.

— Co pan robisz na miły Bóg! — To pomoc!

— Pokaże się! — odparł pospiesznie.

Kroki zbliżały się ciągle. Mogliśmy już rozemnieć, że szedł jeden tylko człowiek. Przystawał, to znów ruszał szybciej naprzód.

Naraz, na szafirowym wycinku nieba, nad naszymi głowami zamajaczyła wysoka papacha kozacka. Kiwała się wysoko przez chwilę, potem zniżyła ku nam, a dwoje polyskliwych jak u wilka oczu zaświeciło w ciemności.

Towarzysz mój trzasnął donośnie zamkiem karabinu i krzyknął:

— Pastoj! Dawaj parol.

Czapa cofnęła się nagłym ruchem.

— Pastoj, ili striel! — krzyknął.

Ciężkie buciska zaczęły donośnie po polu, wreszcie tentent rozwiął się w ciszy nocnej.

— Widzisz pan. Tak się udaje karauł, to jest wartę na posterunku. Zdaje mi się, że to był szelma Czecheniec. No... ten by nam dał bobu. Zobacznno pan ile nabojów w magazynie. Może się to przydać. Zwłaszcza, że przed jutrem nie możemy sygnalizować. Kozacy, jak się zdaje lazić będą do późna, a sanitaryusze wcześniej się kładą spać.

— Nie domyśla się pan co się rozegrało nad naszymi głowami i jaki rezultat? — spytałem.

— Nie wiem. Należałem do patroli i w linii strażników znalazłem się zupełnie przypadkowo.

— Ale coś w tem wszystkim być musi. Ano, dowiesz się pan, skoro się wydostaniesz z tej jamy.

— Skoro się wydostaniemy! — poprawiłem.

Machnął ręką.

— Mnie to wszystko już całkiem obojętne.

Umilkł, skulił się i wydało mi się, że drzemie.

Milczałem nie chcąc mu przerywać spoczynku, ale gdy cisza wydała się zbyt długą i zaczęło mnie trapić przypuszczenie, że może zmarł, wziąłem porzuconą obok latarkę elektryczną i położyłem mu na piersiach.

Ani drgnął.

Zaniepokojony silnie, przyczołgałem się jak mogłem najbliżej, tak, że mogłem niemal ucho do ust jego przyłożyć.

Oddychał, ale niezmiernie lekko. Zaledwie mogłem pochwycić ten oddech.

Uspokojony, oparłem głowę o stok naszej dziury i zapadłem w półsen.

Ledwo zawarłem powieki, zaczęło mi się marzyć coś, z czego dziś pozostało mi tylko jedno widzenie.

Oto na kobaltowem tle nieba widnieje wielka głowa kundysa. Widzę dotąd nastawione uszy, z pyska zwięsza się długi ozór, a poniżej tych uszu i tego ozora błyszczą biała, szeroka krawata z czerwonym krzyżem.

Otworłem oczy i to com zobaczył, znieruchomiło mnie i zimnym przejęło dreszczem.

Wsparty na łokciach leżał nad brzegiem naszej dziury kozak.

Wysoka papacha osunęła mu się na tył głowy, pod czapką błyszczało czoło, a niżej ujrzałem dłonie, ścisnące karabin. Otwór lufy zwrócony był wprost na mego towarzysza.

Nie wiem, dlaczego nie krzyknąłem.

Widzę dotąd, jak lufa chwieje się w tę i tamtą stronę. Kozak mierzył długo, wreszcie rozległ się trzask strzału.

Coś koło mnie jęknęło, nie wiem, może ja sam, może mój towarzysz...

Potem drugi strzał.

Rozbryźnięta ziemia osypała mi twarz.

Błyskawicznie zrozumiałem, w czym jeszcze szukać ratunku. I leżąc tak bez ruchu, z zapartym oddechem, patrzyłem. Kozak ostrożnie zszedł do jamy, potrząsnął zabitym, potem mną, obszukał najstaranniej naprzód mego towarzysza, potem mnie, schował co znalazł do kieszeń długiej swej bekieszy, a potem, na ostatku, wziął w rękę elektryczną latarkę i odsapnął z zadowo-

leniem. Przycisnął guzik. Jaskrawe światło oblało jego twarz.

Ujrzałem oczy roziskrzzone, łakome, maleńkie, skośne, silnie wystające kości policzkowe i cienkie obwisłe wąsy.

Zgasił światło i zaświecił znowu, bawił się.

Oślepiiony ciągłym migotaniem, zamknąłem oczy.

W tejże chwili rozległ się śmiech.

Śmiechu tego nie zapomnę nigdy. Gdyby tygrys umiał się śmiać, takimby zaśmiał się głosem.

Po chwili kozak wylazł na wierzch.

Na tle nieba, osrebrzonego już sześcogą brzasku, zarysowała się jego postać w gigantycznych jakichś rozmiarach.

Z niewysłowionem upodobaniem ścisnął w rękę elektryczną lampkę i ustawicznie zaświecał ją i gasił.

Manipulował światłem niezmordowanie, a kąty jego warg podnosiły się w straszliwym, wilczym rozradowaniu. Oplaciło mu się.

JAN GRZYWIŃSKI: DWA NAPISY.

O myśli moja, ty przetrwałaś wieki...

Z. Krasieński.

Przy „drodze Legionów“ w Karpatach lesistych, w paśmie Pantyr, tuż na granicy galicyjsko-węgierskiej, postawili legionieści pod koniec listopada roku zeszłego, w czasie przemarszu do Galicji, wielki krzyż drewniany, a na nim nakreślono następujący napis:

Młodzieży polska, patrz na ten krzyż:
Legiony polskie dźwignęły go wzwyż
Przechodząc góry, lasy i wały
Do Ciebie Polsko i dla Twej chwały.

Kto ten wiersz napisał?

Z zawodu rzemieślnik, w owym czasie legionista, uczestnik przemarszu przez Karpaty, należący do oddziału, który przechodząc granicę, stanął na szczycie góry biwakiem i miał chwilę czasu na odpoczynek.

Ale mniejsza o te szczegóły. Wiersz ten napisał żołnierz polski — i to tłumaczy całą jego treść.

Druga Brygada Legionów, przekraczając Karpaty, przeżyła swe górne chwile. Gdy rozkaz rzucił ją na Węgry, zamajaczyło jej fatum pierwszych Legionów z przed wieku i wśród godzin przepelnionych nadmiarem wojennych wrażeń, brakiem czasu wykluczających refleksje, zaczęła się utrzymywać świadomość rozdziału z krajem. Zrodziła się tęsknota za krajem, podsycał ją każdy biwak, pogłębiał każdy wypoczynek i u młodego żołnierza wnet weszła w tę trwałość, której nie mierzy już czas, lecz wypadki. A było ich wiele, więc trwała długo.

Aż padł rozkaz pochodu do Galicji.

Brygada drgnęła w takt pieśni Dąbrowskiego, pospiesznie zbudowała sobie drogę przez góry i lasy i pospiesznie ruszyła do kraju, ożywiona jednym i temsamem uczuciem, które się zrodziło z owej tęsknoty. Czuli to każdy żołnierz, każdy mógł wypowiedzieć tylko to, każdy mógł dać kształt tylko tej treści.

I tak powstał ów napis na krzyżu.

Niedawno temu filolog polski, romanista, bawiąc na studyach w Hiszpanii, odnalazł przypadkowo w kraju Basków, na jakimś cmentarzu, grób z ery napoleońskiej, mający na płycie następujący napis:



Krzyż Legionów na przełęczy Pantyrskiej.

Fot. z nat.

Jeśli zabłądzą tu stopy czyje
Z nad brzegów Wisły, z nad Niemna zdroju,
Niechaj mi powie, czy Polska żyje,
Wtedy dopiero umrę w spokoju.

Kto ten napis wyrył na grobie?

Autor nieznan, grób bezimienny. Ale w wyobraźni staje żołnierz Legii nadwiślańskiej z całym jej fatalizmem, żołnierz, który widocznie zrezygnował z możliwości powrotu do kraju i pracuje nad własnym grobem, może ranny, niezdolny do przetrwania dalekiego transportu, może kaleka, który tylko dotąd zdołał się dowlec. W wyobraźni staje inwalida, obojętny na widmo nadchodzącej, znanej mu z bliska śmierci, spokojnie ryjącą gwoździem napis na grób dla siebie i w tym napisie streszczający swoje credo, swoje jestestwo.

Ale mniejsza o wyobraźnię. Wiersz ten wyrył żołnierz polski — i to tłumaczy całą jego treść.

Wojsko polskie przebywając w Hiszpanii, przeżyło swe tragiczne chwile. Gdy rozkaz rzucił je za Pireneje, wśród trwałej tęsknoty za krajem żyła żywa wiara w cel, owa wiara, co stworzyła pierwsze Legiony i żyła trwale, choć gnieciona bezkresem tułaczki, mierzzonej nie tylko ową prostą żołnierską logiką, że przecież jednak kiedyś musi być inaczej. I choć to była obca ziemia

i obcy wróg, żołnierz bił się — nie tylko dlatego, że był żołnierzem, i bił się dobrze — nie tylko dlatego, że tylko tak bić się umiał; bił się z wiarą polskiego żołnierza.

Ale gdy nowe rozkazy wystawiały wytrwałosc na coraz nowe próby, gdy czas walk zaczęły mierzyć coraz liczniej mogiły — grób żołnierza nie mógł oznaczać jeszcze końca, zawodu i owa wiara zaczęła się przedłużać, stała się jakby mistyczną, bezświadomie weszła w tę fazę, co „nie ginie przez skonanie“, sięgnęła poza grób, wyszła poza śmierć, stała się nieśmiertelną. Nadać temu kształt, było już tylko kwestyą czasu na autoanalizę. I tak powstał ów napis na grobie.

Dwa napisy...

Rozdziela je wiek czasu, a przecież jednaka w obydwu treści: do Niej, dla Niej, dla Jej wolności; jednaki kierunek myśli, jednaki cel, do którego dojść — nawet

śmierć nie przeszkodzi. I tasama prostota, tasama szczerosc i bezpośredniość, i ta sama tężyzna, jak tasama tężyzna jednakiego czynu: orężnego.

Bo chociaż dzieli je wiek, tosamo zrodziło je źródło: myśl polskiego żołnierza, owa myśl zbrojna, co stworzyła pierwsze Legiony, żywiła je wiarą pierwszych wojowników, utrzymała tę wiarę we wszelkich próbach, a gdy zawodów spadło zbyt wiele i zbyt ciężkich, zamiast ją złamać — unieśmiertelniła ją.

Więc choć zmieniły się czasy i zmienili ludzie, choć między dzisiejszym krzyżem i ówczesnym grobem jest przedział, który mierzy i przestrzeń i czas i wypadki, przetrwała ów przedział myśl żołnierza polskiego, jedna i tasama, nienaruszona, niespożyta, tą samą treścią zbrojna. I oto teraz, wśród zmienionych warunków, wśród niepewności i wahań, stanęła do czynu, jedynie trwała — jedyna wytyczna.

W I E R S Z E Ż O Ł N I E R S K I E.



Rys. Gottlieb.

Żołnierze piszą... Rzecz znana. Piszą wszędzie, w koszarach, w rowie strzeleckim, w czasie transportu koleją, w każdej chwili wytchnienia i odpoczynku. Piszą kartki i listy przy marnem świetle świecy, przy lichym kaganku, na futrynie okna, na ławie pociągu, na ziemi do rodziny bliższej i dalszej, do znajomych, do reda-

keyi. Kartki polowe łączą ich ze światem, za którym tęsknią, a z którego wyrwała ich wojna.

Żołnierze piszą poezye... Rzecz nowa. Historia nie przekazała nam przykładu tak obfitej produkcji wierszy żołnierskich. Ale bo też żołnierze dawnych czasów nie mieli tej oświaty i kultury, co dzisiejsi, bo żadna z minionych wojen nie stawiała pod chorągwie wszystkich, dosłownie wszystkich mężczyzn, bez względu na stan i pochodzenie.

Poczta polowa przynosi ustawicznie wiersze żołnierzy polskich. Piszą legionieści i żołnierze c. i k. armii. Różnego stopnia kultury są autorowie, różnej wartości artystycznej są ich poezye. — Schodzą się jednakowoż w jednym: w temacie. Prawie wszystkie poezye żołnierskie są patryotyczne. Nadzieje i radości, cierpienia i niedola narodu — oto ośrodki, około których obraca się wiersz polskiego żołnierza. — Miłość kobiety, która przez tak długie wieki stanowiła najważniejszy nerw poezyi świata — zesza na plan dalszy. Nie znajduje ona nie tylko wyrazu, ale nawet oddźwięku w poezjach polskiego żołnierza. — Ciasne kółko miłości osobistej, zastąpiła w zupełności miłość wielkich rozmiarów, ukochanie całego narodu i tęsknota za lepszą przyszłością nieszczęśliwej Ojczyzny. — Wielkie czasy zrodziły wielkie temata. — *Wszak tempora mutantur et nos mutamur in illis...*

Bogata w ilość (bynajmniej nie w wartość artystyczną!) — polska żołnierska poezya patryotyczna należy do rzędu wielu niespodzianek, jakie przyniosła nam z sobą wielka wojna narodów, z którą złączonych jest tyle naszych pragnień i marzeń serdecznych, ta wojna, o której wybuch już Adam Mickiewicz się modlił.

Obok pierwiastku patryotycznego, który w poezyi żołnierskiej jest głównym i przeważającym — występuje też pierwiastek religijny. Jest to objaw w Polsce dawno znany, odpowiadający religijności naszego narodu. — Równocześnie jest to charakterystyczny rys obecnej wojny, dla przyszłych badaczy bardzo ciekawy, dowodzący, jak ciągle, bezpośrednio niebezpieczeństwo śmierci pogłębiło uczucia religijne żołnierzy.

Poezya żołnierska jest ważnym dokumentem dla przyszłości. Zrozumieli to dobrze Niemcy, u których ukazało się już kilka zbiorów, obejmujących wiersze nie tylko żołnierskie, ale wogóle poezye, związane z wojną

i w czasie wojny powstałe. Szkoda, że u nas niema dotąd ani jednej antologii polskiej poezji wojennej, ani poezji żołnierskiej. — Wiersze nasze, rozrzucone są dotąd po szpaltach różnych pism lub po tekach rozmaitych redakcyi. Kłoby się podjął trudnej co prawda, ale żobnej pracy około wydania zbioru, położylby duże zasługi wobec przyszłych pokoleń.

A teraz posłuchajmy kilku urywków wierszy naszych żołnierzy. Nie mają one (zaznaczyliśmy to) wartości artystycznej, ale posiadają za to wielkie serce, miłość Ojczyzny i są jednym z dokumentów wielkiej epoki.

I.

Żołnierz III. pułku, II. brygady Legionów polskich — podpisany literami S. M., nadesłał wiersz dłuższych rozmiarów, z którego wyjmujemy następujące ustępy:

<i>Wiemy, co za zbóje</i>	<i>Warszawa już nasza</i>
<i>Są carscy kozacy,</i>	<i>I Królestwo drogie,</i>
<i>I oni poznali,</i>	<i>Moskał się czempredzej</i>
<i>Co strzelcy Polacy.</i>	<i>Wybrał wschodnią drogę.</i>

*Gdy Moskału zajdziesz
W sybirskie pustynie
Wtenczas Polska nasza
Potężna zastynie*

II.

Jan Januszewski, legionista V. batalionu, I. brygady w udatnym wierszyku pod tyt. „Moskale zabrali“ pisze:

<i>Ogotcił Moskał Polskę,</i>	<i>Kiedy proszę gospodarzy,</i>
<i>Niech go dyabeł spali!</i>	<i>Aby co sprzedali,</i>
<i>Słyszysz bowiem wciąż te</i>	<i>Nie czekają końca mówiąc:</i>
<i>Moskale zabrali! I słowa:</i>	<i>Moskale zabrali!</i>

<i>Niechaj będzie pochwalony! —</i>	<i>Raz dziewczątek stała chmara,</i>
<i>Rzekłem raz z oddali,</i>	<i>Myśmy je pytali:</i>
<i>A gosposia: Niema, niema,</i>	<i>„Hej, Marysie, macie wianki?“</i>
<i>Moskale zabrali!</i>	<i>Moskale zabrali!</i>

*Nieszczęśliwa Polska nasza,
Któż ją też ocali?
Wszystko, co w niej tylko było —
Moskale zabrali!*

III.

Żołnierz tarnowskiego 57 pp., J. L., nadesłał dłuższy wierszyk. — Podajemy zeń taki ustęp:

<i>Cześć Tobie i chwala,</i>	<i>Dziękuję Ci Boże,</i>
<i>Wszchemogący Panie,</i>	<i>Za Ojczyzny sprawy,</i>
<i>Za Twoje nad Polską,</i>	<i>I za wyzwolenie</i>
<i>Święte zmitowanie!</i>	<i>Kochanej Warszawy.</i>

Mamy nadto szereg wierszy, pisanych nie przez żołnierzy, ale przez ludzi, którzy już jutro mogą być żołnierzami. Wszak w dzisiejszych czasach o to tak łatwo!

Niektóre z nich pełne są uczucia patryotycznego i gorących modłów do Boga o zmartwychwstanie Ojczyzny.

IV.

Ludwik Benisz z Nowego Sącza pisze w wierszu pod tyt. „Wskrześ Polskę Boże!“:

*Wstaw się za nami Królowo Pani,
Bośmy Twe dzieci, studzy poddani,
Niech nam zabłysną pomyślne zorze,
Wskrześ Polskę Boże!*

*Wskrześ Polskę Boże, Ojczy i Panie,
Niech się Twa wola wszchemocna stanie,
Niech wróg polskości będzie zgnieciony,
I pohańbiony.*

*Drugi wiek miła naszej niewoli,
I wszelkich męczarni, krzywd i niedoli,
Niech dzień pomyślny głosi nam zdanie:
Polski zmartwychwstanie!*

Rozśpiewała się Polska. W formę wierszowaną ujmuje sprawy narodowe wielu, bardzo wielu ze wszystkich warstw narodu. Poezya, która jeszcze na krótko przed wojną, ustępowała wśród szerokiej publiczności miejsca noweli i powieści, dzisiaj weszła na plan pierwszy i to czynnie oraz biernie. — Kto wie, czy wielka wojna, razem z odrodzeniem narodowym, nie sprowadzi wielkiego odrodzenia narodowej poezji polskiej.

Zygmunt Augustyński.



*Legioniści
na kwaterze.
Fot. z nat.*